

AMEN



MAŁGORZATA  
BORKOWSKA OSB

# AMEN

REKOLEKCCJE



TYNIEC  
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Projekt okładki:*  
Jacek Zelek

*Fotografia na okładce:*  
Marcin Marecik

*Imprimi potest:* Opactwo Benedyktynów  
Tyniec, dnia 28.05.2020  
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze – Kraków 2020

ISBN 978-83-8205-013-4

© Copyright by Małgorzata Borkowska OSB  
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków  
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95  
e-mail: [zamowienia@tyniec.com.pl](mailto:zamowienia@tyniec.com.pl)  
[www.tyniec.com.pl](http://www.tyniec.com.pl)

*Druk i oprawa:*  
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
[druk@tyniec.com.pl](mailto:druk@tyniec.com.pl)

# SPIS TREŚCI

Od Wydawcy . . . . .	7
AMEN na Wcielenie Boże . . . . .	11
AMEN na wejście Boga w nasze konkretne życie . . . . .	27
AMEN na konsekwencje Wcielenia . . . . .	39
AMEN na prawa rządzące dziełem stworzenia i zbawienia . . . . .	53
AMEN na Serce Syna . . . . .	69
AMEN na chrzest, na powołanie – i na ich skutki . . . . .	83
AMEN na niewidzialne Królestwo . . . . .	95
AMEN na konstytucję Królestwa: błogosławieństwa . . . . .	109
AMEN na Krzyż i przebaczenie . . . . .	129
AMEN na milczenie Boga i na naszą ubogą modlitwę . . . . .	145
AMEN na Ducha Świętego . . . . .	161
AMEN na świętą codzienność . . . . .	177
O autorze . . . . .	191



## OD WYDAWCY

Wygłosić rekolekcje dla własnej wspólnoty raczej nie jest łatwo. Sędziwa mniszka, Małgorzata Borkowska OSB, została poproszona o parę słów do swoich, w domu, gdzie mieszka, żyje. A wiadomo: najtrudniej mówić do swoich. Pochwał przyjemniej się słucha, ale przecież miłość nakazuje dać drugiemu całą prawdę. Wówczas nie można ominąć faktu, że to i owo każdemu za uszy się dostało. Na szczęście, „głosząca” za własne uszy także zagląda, przez co jest współtowarzyszką losu, a nie mądralą. Potrafi właściwie nakreślić proporcje ludzkich cnót i wad, dobra i zła, zasług i grzechów. I dopiero po prześwietleniu całości Bożym zamysłem, wskazuje na „horyzont” najpiękniejszy z możliwych: odwieczną miłość Osób Trójcy Świętej rozlaną na świat, a w tym świecie człowiek z tej miłości stworzony i do niej powołany.

Co wynika z Bożych planów na to wszystko? Pyta i odpowiada. Najpierw, że takie plany są, a potem, że mogą być przez człowieka rozpoznane. W tym rozpoznawaniu Autorka usiłuje

pomóc i robi to w ciekawy sposób. Nie tyle naucza z katedry czy ambony, co podążając drogą wiary we wspólnocie, ze wspólnotą tą wiarą się dzieli.

Książka na pewno nie jest wyłącznie dla zakonnic, choć im z pewnością będzie do niej najbliżej. Siostra Małgorzata przenosi prawidła monastycznego życia na grunt uniwersalności, przez co każdy z nas może odnaleźć siebie w roli pustelnika, nawet w środku miasta. Zresztą klasztor żarnowiecki, gdzie żyje Autorka, także na pustyni nie jest. Wskrzeszanie mądrości Ojców Pustyni wychodzi Jej kapitalnie, o czym wielu mogło się przekonać wcześniej sięgając po książki: *Sześć prawd wiary i ich skutki* lub *Marcybella i Petronela*.

Co z mężczyznami? Najgłębsze pragnienia kobiecego serca okazują się nie być płciowe, tylko ogólnoludzkie. To nie kobietę Bóg z natury stworzył do kontemplacji, tylko każdego człowieka, swoje stworzenie, dziecko swoje. Chodzi o to, by wypowiedzieć AMEN przed Bogiem i do Boga. Siostra nazywa to *istotą i treścią całej naszej modlitwy*, która może ogarnąć ludzką co-



dziennosc aż po same brzegi, i zachęca, by tym AMEN przeświecić każde jej zakamarki.

Mamy okazję „odprawić” benedyktyńskie rekolekcje pod okiem zakonnicy-staruszki, która, po osiemdziesięciu latach życia, ma prawo coś niecoś o tym wszystkim wiedzieć.



# AMEN NA WCIELENIE BOŻE

Rekolekcje chyba nie są po to, żeby słuchać czegoś zupełnie nowego: raczej są powrotem do prawd i zasad starych, znanych, może nieco przez nas na co dzień spychanych na bok, ale podstawowych.

A ta jest pierwsza: mieszkamy w domu Zwiastowania i do tego domu na mocy profesji należymy. Jesteśmy więc jakoś przyporządkowane do tego właśnie epizodu, tej właśnie świętej tajemnicy Wcielenia, jesteśmy w jej służbie. Zarazem modlimy się w kaplicy pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża św.: Krzyża, który okazał się tym zapowiedzianym w Zwiastowaniu tronem Syna Dawidowego i jest nim do dzisiaj, ku chwale Ojca i ku naszemu zbawieniu. I znów, jesteśmy przyporządkowane do tej tajemnicy aktu najwyższej miłości Syna Bożego, jesteśmy w Jego służbie. Jeśli nikt w ogóle nie żyje dla siebie tylko (por. Rz 14,7), to my, żyjąc dla Boga z racji naszego chrztu, powinniśmy wziąć to sobie za drogowskaz, że dano nam taki

właśnie podwójny patronat. I wyciągnąć z niego jak najdalej idące wnioski.

W chwili Zwiastowania Maryja na przyniesione sobie przez Anioła Boże oświadczyły odpowiedziała słowem zgody i przyzwolenia, które przywykliśmy w Kościele Zachodnim cytować jako *Fiat*. I pięknie, tylko że Ona tego na pewno nie powiedziała po łacinie. Nie powiedziała także po grecku, chociaż po grecku do nas doszło. Mówiła do Anioła tak, jak myślała, więc albo po aramejsku, albo po hebrajsku. Zapisu na to jednak nie ma, więc wolno nam na swój użytek streścić tę Jej zgodę słowem, którego Jej Syn używał go często w swoich naukach; znaczy ono „O, tak; niech tak będzie; słusznie, rzeczywiście, zgoda”. Ewangeliści w swojej grece, a św. Hieronim w Wulgacie zachowali je dla nas, przynajmniej w naukach Pana, w oryginalnym brzmieniu; dopiero nasz ks. Wujek przełożył je jako „Zaprawdę”. To jest słowo AMEN. W naszej liturgii do dziś zdarza się nam śpiewać antyfonę ze słów Pana Jezusa wziętą, a zawierającą to słowo nie zmienione; na przykład „*Amen amen, dico vobis...*”: O tak, o tak, powiadam wam. A we Mszy św. zdarza

się ono między innymi w jednym z kluczowych momentów: kiedy mamy wyrazić naszą zgodę i przyświadczenie na dokonane właśnie przestoczenie, i naszą miłość do obecnego wśród nas Zbawiciela.

To słowo AMEN, wypowiedziane przed Bogiem i do Boga, jest właściwie istotą i treścią całej naszej modlitwy. I przede wszystkim, tak jak zgoda Maryi, powinno ono objąć tajemnicę Wcielenia. Nasza zgoda na przyjście Syna Bożego na ziemię nie jest wprawdzie warunkiem Jego przyjścia – to kluczowe AMEN wypowiedziała już Maryja w imieniu ludzkości – ale jest akceptacją wszelkich konsekwencji tego faktu, w tym także i wkroczenia Pana w nasze własne życie.

Przede wszystkim więc trzeba nam zastanowić się nad treścią tej Dobrej Nowiny, której poświęcony jest nasz klasztor. Pomińmy historyczny rozwój dochodzenia do tej prawdy i zastanówmy się nad jej treścią nam już znaną. Po pierwsze więc, Bóg okazuje się Ojcem. Ojcem Syna równego sobie, zjednoczonego z Nim wspólnym Duchem. Bóg Stwórca okazuje się Trójcą, i ta Trójca ma jakiś plan do-

tyczący świata przez siebie stworzonego, dotyczący ludzkości. A żeby ten plan ostatecznie wypełnić, zniża się teraz aż do niej, nawiązuje bezpośredni kontakt. Po długim przygotowaniu. Odwołuje się do pojęć dla człowieka zrozumiałych: synostwo, królestwo, macierzyństwo. Bóg sam stworzył ludzi jako istoty rozumne, cielesne i społeczne. Nie po to, żeby różnica płci służyła do żerowania jednych na drugich, a różnica funkcji społecznych do dominacji czy terroru; chociaż ludzie tak właśnie te dary zrozumieli i tak ich (wbrew intencji Stwórcy) używali i używają. Ale On stworzył to wszystko po to, właśnie po to, żeby w kluczowej chwili móc powiedzieć do wybranej kobiety: *Urodzisz Syna, a Pan da mu tron Jego praojca, Dawida* (Łk 1,32). To dla tej chwili kiedyś ten tron zaistniał; dla tej chwili zaistniało na ziemi wszelkie ojcostwo i macierzyństwo. Nie odwrotnie. Więc na tę Bożą inicjatywę, sięgającą wstecz aż do chwili stworzenia świata, a dobiegającą pełni w Zwiastowaniu, Maryja w naszym imieniu powiedziała na to AMEN – a nam wolno, nam dano ten przywilej, żeby też razem z Nią mówić AMEN. Niech tak bę-

dzie – niech nam się stanie – o tak – zaprawdę – tak jest, i tak niech będzie.

Całkiem też spoza wszelkich wcześniejszych pojęć i objawień zjawia się teraz przed nami Bóg Syn. Syn nie stworzony (jak aniołowie, nazywani czasem w Starym Testamencie „synami Bożymi” (Hi 38,7), nie adoptowany tylko, jak królowie izraelscy (*Ja będę mu ojcem, a on będzie mi synem* – 2 Sm 7,14); ale Syn współistotny Ojcu, równy Ojcu. Zjawia się na ziemi nie tylko jako nasz Pan i Stwórca, ale także jako nasz brat. Równy nam we wszystkim oprócz grzechu. Mógłby przecież nie bawić się w żadne stadia przygotowawcze i przyjść jak jakiś swoisty wizytator, interweniujący z zewnątrz; ale nie: On wolał poddać się we wszystkim naszej kondycji życiowej. Długa ludzka genealogia, rozwój embrionalny w łonie Matki, tak, ale nie tylko to: napisano przecież, że jako dziecko rozwijał się w sposób właściwy dla dzieci, *wzrastał w mądrości i łasce* (Łk 2,40). To znaczy, że jego ludzka pojemność serca i umysłu rosła; oczywiście nie wiemy, od jakiej wiedzy wlanej startowała, ale rosła na pewno. Wiemy, że mając lat dwanaście, wiedział, że żyje dla Ojca i że

sprawy Ojca są dla Niego najważniejsze: są niejako Jego siedzibą, poza którą nie ma sensu Go szukać. Widzimy Jego dziecinne zdziwienie, że ktokolwiek mógł szukać Go gdzie indziej. I na to także mamy przywilej odpowiadać AMEN: na łaskę, dzięki której zbłąkana ludzkość nagle staje przed Bogiem w pozycji syna: na razie w jednym tylko swoim przedstawicielu, ale On przyszedł rozciągnąć to na wszystkich. AMEN, Panie.

I wreszcie zjawia się także Duch Święty. Słowo „duch” miało i ma mnóstwo znaczeń, i bardzo jest niebezpiecznie żonglować nimi zamiennie. Może na przykład znaczyć „usposobienie”, intencję: ktoś coś zrobił „w duchu pokuty”; a w Biblii czytamy na przykład, że *Pan zesłał ducha niezgody między Abimelekiem a możnymi z Sychem* (Sdz 9,23). Może oznaczać duszę człowieka zmarłego, ujawniającą się jakoś po jego śmierci; może oznaczać istotę pozaziemską, niematerialną ale osobową, na przykład anioła albo szatana. Jednym słowem, miewa znaczenia osobowe i bezosobowe, które koniecznie trzeba rozróżniać. Ale Duch Święty, ten, który na początku *unosił się nad wodami*



(Rdz 1,2), a więc jakby ocenił całe stworzenie, a teraz rzucił „cień” na Maryję, czyniąc Ją Matką Syna Bożego, to jak najbardziej Osoba, i to trzecia Osoba Boska. Nie jest to Jego pierwsze wejście w dzieje ludzkości: domyślamy się Jego szczególnego działania w pouczeniu proroków i innych natchnionych autorów Pisma św. Ale tutaj nareszcie Jego działanie dochodzi do pełni, do szczytu. A nam przez to ujawnia się Jego istnienie jako Osoby i Jego dążenie, Jego akcja. I na to także wolno nam – mamy ten przywilej – odpowiedzieć AMEN. Tak jest, o tak, wierzymy; Bóg jest, i jest Trójca Święta, i Syn Boży zstąpił na świat, i Duch Święty działa w dziele zbawienia. O tak, zaprawdę.

Zastanówmy się jednak nad tym, że to nie my – nawet jeśli liczyć naszą zgodę od chwili zgody Maryi – nie my pierwsi tu mówimy AMEN. Bóg Syn powiedział je wcześniej. I nawet nie myślę tu o Jego podstawowym zamiarze oddania życia z miłości do Ojca: myślę o Jego wejściu w bardzo konkretną ludzką rzeczywistość. Prawda, że to On sam tę rzeczywistość stworzył i rozwijał – na przykład przygotowując genealogię swojej Matki, a także cały świat po-

jęciowy swojego ziemskiego środowiska i jego wielowiekowe doświadczenie; ale ludzie mieli w tym także swój udział, i natkali w tę Bożą rzeczywistość tyle paskudztwa, nasiali tyle kąkolu, ile tylko mogli. Skutkiem był świat pełen zła, świat kontrastów między bogactwem i nędzą, świat wojen, rzezi i zniszczeń, dokonywanych tylko po to, żeby jedno państwo mogło mieć trochę lepsze życie kosztem innych, a jeden dyktator mógł wynieść się nad całą resztę. Świat, w którym ludzie wiedzą, owszem, że zabójstwo, i chciwość, i kłamstwo to zło – ale się od nich nie mogą powstrzymać. Świat sprzedający wyroki sędziowskie i sprzedający ludzi. Świat półprawdy i ćwierćprawdy, gorszej niż proste kłamstwo. Świat, w którym nawet kult Boga prawdziwego jest tak spaczony, że choćby jeszcze nie wynaturzył się aż do bałwochwalstwa, może prowadzić do zabójstw dokonywanych w imię Boże i do uszminkowanego na pobożność zdzierstwa.

A On w to wszystko wszedł. Wziął całą tę rzeczywistość na siebie. Absolutnie nie po to, żeby zło zaakceptować i pochwalić, pogłaskać po głowie, nazwać dobrem, albo przynajmniej

czymś zrozumiałym i nieuchronnym. Kierował przecież ludzi ku doskonałości moralnej o wiele większej niż ta, o której dotąd słyszeli: *Słyszeliście, że powiedziano starszym... A ja wam powiadam...* (Mt 5,22). I nigdy nie mówił do grzesznika: „Nie mam ci tego za złe, każdy by na twoim miejscu tak samo...” itd.; ale przeciwnie, mówił: *Nie grzesz więcej* (J 8,11). Więc wszedł w to nasze bagno po to, żeby skutki całego zła, ból z niego wypływający, wziąć na siebie. Mógł się przecież przed tym uchronić, ale nie zrobił tego. Potrafił wybronić od ukrzyżowania wszystkich swoich bliskich, ale nie chciał bronić siebie. Przyjął całe cierpienie, aż do granic ludzkiej możliwości. Bo jako człowiek miał takie granice; i kiedy ono je przekroczyło, po prostu Go zabiło. *Ojczy, w ręce Twoje.*

Przyjął także poniżenie. Słowo Boże wcielone uznano za oszusta, Stwórcę i Dawcę życia zabito razem z mordercami. Wydrwiono Go, Boga nazwano błędnowiercą. Przyjął to wszystko na siebie. I zrobił z tego narzędzie i źródło zbawienia dla grzeszników. Przyjął nawet wszelkie drobne ograniczenia naszej cielesności, dla nas tak oczywiste: chodzić możemy

tylko po lądzie, znikać z oczu nieprzyjaciół nie umiemy. Takie możliwości nie leżą w naturze stworzeń; a On tych swoich szerszych możliwości, swojej władzy Stwórcy nad naturą, użył tylko parę razy. Raz dla dodania uczniom wiary szedł po wodzie (Mt 14,25), ale normalnie wędrował mozolnie po kamienistych drogach pieszo, i wiemy, że bywał bardzo zmęczony (Mk 4,38; J 4,6). Ukrył się przed wrogim tłumem raz w Nazarecie (Łk 4,30) i raz w Jerozolimie, kiedy już miały polecieć kamienie (J 10,39); ale normalnie każdy Go mógł znaleźć, i rzeczywiście w oznaczonym od wieków czasie znaleźli Go Jego najgorsi wrogowie. Potrzebował pożywienia, odzieży, odpoczynku – jak wszyscy ludzie.

Słowem, przyjął naszą naturę rzeczywiście, w całości. Do jej możliwości ograniczał swoją działalność. Dodajmy, że do jej możliwości w wersji społecznej i ekonomicznej najniższej. Jadał chleb i ryby, jak wszyscy galilejscy biedacy. Podróżował wyłącznie pieszo i to tylko w granicach niewielkiego ojczystego kraju; i nigdy w innym celu, niż po to, żeby świętować albo nauczać, a więc dla chwały Ojca. Za towa-

rzystwo mógł mieć tłumy, ale byli to uczniowie albo przygodni słuchacze, w większości równie ubodzy jak On, a nie żadne kapiące od złota orszaki służby. Raz jeden dosiadł osiołka, ale i to pożyczonego, i na krótko, a jechał na nim ku swojej śmierci.

Przyjął także konkretny okres historyczny. Były to czasy, kiedy Jego wybrany naród znajdował się w granicach imperium rzymskiego, i cierpiał nad tym zniewoleniem i podziałem: jedni się buntują, wywołują rozruchy i giną, inni robią majątki na kolaboracji. Jeszcze inni usiłują ignorować to bolesne położenie; bardzo trudna postawa, skoro i tak trzeba płacić podatki. Nawet wiara nie jednoczy ich do końca, bo jest kilka szkół, które różnie interpretują jej treść i obowiązki, a ubogie masy, czyli praktycznie większość narodu, same już nie wiedzą, kogo tu słuchać; wierzą tradycyjnie, ale energię życiową zużywają na trudne i żmudne zdobywanie codziennego pokarmu. A przecież Syn Boży mógł przyjść w okresie o wiele bardziej jednoznacznym i mniej problemowym; albo jeśli takiego w rzeczywistości nigdy nie było (bo każda epoka ma swoje trudności), to zatrosz-

czyć się o to, żeby taki okres powstał. Czas politycznej jedności i wielkości, czas jednolitej religijności, czas jakiego takiego dobrobytu, żeby nie było tak trudno wybierać, czy iść posłuchać kaznodziei, czy raczej zostać przy pracy. A On wszedł właśnie w czas trudny, i bardzo trudny, kiedy ludzie kosztowali szczególnie boleśnie owoców wszystkich dawnych błędów, które przecież nie przeminęły bez skutków, i owoców swojej zwykłej, ciągłej połowiczności, przemysłań nie domyślanych do końca, postanowień idących w pół drogi. Kipiało to wszystko i kłębiło się, z winą, z pół-winą czy bez winy, bardziej niż kiedykolwiek. I On właśnie w to stadium dziejów wchodzi.

Zresztą weźmy i sam ród Dawida. Kiedy czytamy, na przykład u Mateusza, genealogię Chrystusa, uderza nas to, że od pewnego momentu kończą się imiona znane z ksiąg historycznych i będące jakby streszczeniem dziejów Izraela, a zaczyna się długi szereg zupełnie nieznanych. Ostatnim z Dawidowych potomków, o którym cokolwiek w historii wiadomo, był urodzony już w Babilonii, w niewoli, wnuk króla Jechoniasza, Zorobabel. Zjawia się on

w dziejach na krótko jako przywódca pierwszej karawany repatriantów, prorocy ówcześni wiążą z nim wielkie nadzieje – i nagle cisza, potomek Dawidowy niknie i już odtąd nikt z tego rodu nie odegra żadnej roli dziejowej. Prawdopodobnie król perski zidentyfikował go jako możliwy ośrodek buntu i znalazł sobie innych, bezpieczniejszych namiestników. Syn Zorobabela (wg św. Mateusza Abiud, wg św. Łukasza Resa), wcale zresztą nie koniecznie syn pierworodny, staje się protoplastą rodziny schodzącej na samo dno społeczne i niezdolnej już nikomu niczym imponować; nawet jeśli osiągnęli szczególną pobożność, nikt się tym specjalnie nie przejmował. I Syn Boży właśnie w tym czasie do tego rodu wchodzi.

Wyobraźmy sobie, że jeszcze przed podjęciem publicznej działalności był obecny – przecież doskonale mógł być – w tłumie w miasteczku, przez które właśnie przejeżdżał tetrarcha Herod Antypas. Herod, jak każdy w świecie niby-władca (*niby*, bo i z rodu przybłęda, i w rzeczywistości sługa Rzymian, żaden król), miał kompleks niższości i łątał go sobie przepychem, to zrozumiałe. Więc sunie orszak: He-

rod, dworzanie, gwardia przyboczna, lektyki i rydwany, wielbłądy i rumaki. Mrowie niewolników, tragarzy i wielbłądników, a nawet i oni strojni. Wszędzie lśni złoto, barwne kosztowne materie, kapela gra, huczą trąby i bębny. Hałas na całą okolicę: król jedzie, jakże. Wonie z kadzielnic, niesionych po bokach orszaku, usiłują przyćmić zwykłe wiejskie zapachy, żeby król nie musiał wdychać tego, co wdychają podwładni: jest przecież wyniesiony ponad nich wszystkich, niemal z innej gliny ulepiony. I wszyscy w miasteczku są w niego wpatrzeni, wgapieni, taki widok, taka okazja! A za nimi stoi Jezus. W takim, jak oni wszyscy, burym samodzielnie wełnianym, bosi jak inni, spocony jak inni. Zapowiedziany potomek Dawida i prawdziwy Król nad wiekami. Tylko że nikt o tym nie wie, nikt Go nie dostrzega. Wedle ludzkich pojęć i ludzkiej oceny to nędzarz, niegodny uwagi, bezbarwny i jeden z mnóstwa. To także wziął na siebie, bo to była – i jest – kondycja ogromnej większości ludzi. A w rzeczywistości cały ten dwór niby-królewski, ale zresztą także i cesarski dwór w Rzymie, światowładne imperium, to była wobec tego nędzarza jedna głupia farsa,



jarmarczne świecidełko. Komu tu od kogo potrzeba miłosierdzia? Gdzie tu jest prawdziwa wielkość, ta, która ma wartość w oczach Boga, chociaż dla ludzi nie jest ani dostrzegalna, ani zrozumiała?

Więc całe to Jego poniżenie, całą Jego ofiarę, akt najwyższej miłości do Ojca, a jednocześnie dla nas narzędzie zbawienia, mamy przed oczami już w scenie Zwiastowania. I na to wszystko mówimy AMEN. *Kielich zbawienia przyjmę* (Ps 116,13).